

Nocą przychodzi ona

Pan Henryk wyglądał zza firany na pełną ludzi ulicę. Przyglądał się roześmianym, kolorowym tłumom, przelewającym w ciepłym świetle dnia. To był naprawdę piękny, czerwcowy dzień, gorący dzień, taki z czystym niebem i pełnym słońcem, które uśmiechało się czule z wysoka. Po parującym asfalcie przejechało z rykiem sportowe auto, jakaś ładna para spacerowała leniwie, młode urwisy przeleciały po chodniku jak szarańcza, a drobna dziewczynka z niedowierzaniem przyglądała się lodowej kulce leżącej na szarej kostce. Po chwili podniosła krzyk.

Mężczyzna nie mógł dłużej patrzeć na to wszystko. Zasłonił w nerwach okno i odszedł, bo nie podobał mu się ten widok. Nie podobało się życie. Od kilku dni wcale.

Wyszedł z sypialni i udał się na dół, do kuchni. Zaczął ociężale schodzić po schodach, trzymając się mocno drewnianej poręczy. Męczyły go te schody, męczyły od zawsze – skrzypiące, odrapane, wysokie, cholerne stopnie i trzęsąca się poręcz. Pan Henryk musiał być uważny, stąpać delikatnie i powoli. Bolały go stopy, bolały nogi i bolały stare kości w tych nogach. Pomyślał, że dziś bardziej niż kiedykolwiek. W końcu znalazł się na dole. Sapał. Powietrze było jakieś gęste i ciężkie.

W kuchni wstawił czajnik na gaz. Mieli co prawda w domu elektryczny, plastikowy, ale panu Henrykowi herbata z tego plastiku nigdy nie smakowała. Co innego jego żonie, Zofii. Zmarłej Zofii. Zmarłej żonie. Okrągłe sześćdziesiąt lat małżeństwa. Wyciągnął kubek z dymionego szkła i wrzucił do niego torebkę herbaty. Spojrzał na kalendarz. Dziś wypadają sześćdziesiąt lat – tak, to był piękny czerwcowy dzień, długi i piękny. Teraz nie miał już czego świętować, nie miał z kim.

Pan Henryk podniósł głowę i spostrzegł, że przez okno obserwuje go mała, opalona twarz. Ta mała, opalona twarz chowała się za furtką. Nieraz już ją widywał. Jakiś wścibski bachor, przychodzi tutaj codziennie i patrzy w okna. On nie miał za dzieciaka czasu na zabawę. Była tylko praca, praca, praca i nauka. Przede wszystkim praca. Jego ojciec nie lubił leni.

Woda w czajniku musiała się zagotować, bo po całym domu rozniósł srogi gwizd. Na zewnątrz też było go chyba słychać. Opalona twarz za furtką poruszyła się nerwowo.

– Ja ci dam podglądać – powiedział pan Henryk i zastukał pięścią w szybę.

Opalona twarz momentalnie odskoczyła od furtki. Pan Henryk znowu stuknął, teraz z całą mocą i złością. Opalona twarz, opalony kark, opalone ręce i nogi zaczęły szybko uciekać. No i w końcu dograł się, nie będzie człowieka denerwował!

Pan Henryk, zaparzając herbatę, pomyślał, że właściwie on też był wścibskim chłopcem i wszędzie tykał swój długi nos. Zapomniał o tym, najnormalniej w świecie zapomniat, że też był kiedyś dzieciakiem. Dopiero ten chłopiec przywołał wspomnienia. Dzieciństwo było przecież dawno, dawno temu. A może w ogóle go tak naprawdę

nie było, bo to tyle lat. Kto by pomyślał, że to tyle lat. Dziecko i starzec – jedna i ta sama osoba. Niestychane.

Wziął herbatę i udał się z nią do salonu. Kurz osiadł tutaj na wszystkich meblach, kurz unosił się też w powietrzu, doskonale widoczny w świetle słońca. Pan Henryk usiadł ostrożnie na fotelu – bolały nie tylko nogi, bolało całe ciało – i pilotem włączył telewizor. Nawet nie obchodziło go, co dają (idzie?) na kanale, ważne, że cokolwiek gra i mówi. Brakowało mu ludzkiego głosu, a raczej brakowało głosu Zofii. Jej brakowało. Nie lubił być sam, nigdy nie lubił. Człowiek nie jest stworzony do życia w samotności, tak mówiła babka, a on te słowa dobrze zapamiętał, tych kilka słów. Teraz jednak był jak pustelnik. Sam jeden w ich rodzinnym domu.

Mieszkał w tym domu od zawsze, a przynajmniej odkąd sięgał pamięcią. Mieszkał od czasów wojny, a właściwie to po wojnie. Ten dom zajął jego ojciec. Kiedyś żyli w nim Niemcy. Pan Henryk nie wiedział, kim byli ci Niemcy – ilu ich było, co robili, jak się nazywali. Właściwie nigdy go to nie interesowało. Gdzieś na strychu leżą jakieś ich zdjęcia, tej niemieckiej rodziny, trwają ukryte w kartonowym pudle i czekają na Bóg wie co. Oglądał je może raz czy dwa. Trzeba było je spalić, bo go nie interesowały. Nie potrafił ich spalić.

Dom ten nie wyróżniał się niczym szczególnym – zwykły, piętrowy domek, który przyłączono z całą wsią do Zielonej Góry i przez to zrobił się na ulicy straszny harmider. Zaczęły łączyć armie ludzi, zaczęły jeździć głośnie samochody i autobusy, a przez wysokie lampy nawet nocą było jasno. Nie podobało mu się to. Wolał spokój i ciszę. Wolał wieś. Nikt go jednak o zdanie nie pytał. Zresztą to było dawno, kiedy żyła jeszcze Zofia. Teraz Zofia nie żyje, a on siedzi i pije herbatę, i nie wie, co ma ze sobą zrobić przez resztę dnia. Spojrzał na zegar z kukułką wiszący na ścianie. Było przed pierwszą. Długo przyglądał się tykającym wskazówkom. Nie wiedział, kiedy zmorzył go sen.

Kiedy się obudził, spostrzegł, że zrobił się wieczór i nie mógł tego pojąć, nie mógł uwierzyć, że przespał sześć godzin, że uciekły mu ot, tak, w mgnieniu, a właściwie zmruczeniu, oka. Telewizor wciąż grał, ludzkie głosy wydobywały się z głośników. Brzęczył sygnał telefonu. Jednostajny i głośny. Obudził się, bo dzwonił telefon. Dawno nikt nie dzwonił.

Pan Henryk podniósł się i doczłapał do aparatu. Podniósł słuchawkę.

– Halo? – zaczął.

– Halo? Dzień dobry! Halo? – Usłyszał jakiś kobiecy głos.

– No dzień dobry, dzień dobry – odparł pogodnie. Od dawna nie miał okazji porozmawiać, bo nie było zwyczajnie z kim. Był sam. Został sam.

– Halo? Halo? – Nie ustawały słowa po drugiej stronie.

– No halo! – odpowiedział pan Henryk. – Jestem przecież!

– Halo? Jest tam kto? Halo?

– Jestem!

Kobieta po drugiej stronie rozłączyła się. Pan Henryk powolutku odłożył słuchawkę. Pewnie pomyłka albo brak zasięgu. Spojrzał na zegar w salonie. Nadal nie potrafił uwierzyć, że było po siódmej.

Ale tak po prawdzie ostatnio działo się to wyjątkowo często, to gubienie godzin, gubienie czasu. Przez to właściwie nie jadł i nie pił, prawie nie czuł głodu – wyjadał tylko resztki z lodówki, ale nie smakowało mu jedzenie, miało taki nijaki smak, więc skubał tylko trochę drożdżowego placka, który kupił gdzieś kilka dni temu, chyba zaraz po pogrzebie Zofii. A od dnia pogrzebu, czyli od dobrych kilku dni, w ogóle nie wychodził z domu. Nie czuł takiej potrzeby. Nie chciał. Nie miał po co.

Pan Henryk znów wszedł do kuchni i spoglądając przez okno na furtkę, uświadomił sobie, że ten mały chłopiec również zaczął zjawiać się zaraz po śmierci Zofii. Gałgan jeden. Teraz go nie ma, ale z całą pewnością jeszcze wróci. Pan Henryk pomyślał również o tym, że po pogrzebie Zofii, w nocy tego dnia, poczuł się gorzej niż zwykle. Pochowano przecież żonę, tak, ale było coś jeszcze. Ta noc. Ciężka i pusta noc. Po niej wszystko stało się jakieś inne. Stało się takie podobne. Identyczne.

Spojrzał na wiszący w kuchni stary obraz i wiedział, że to są twarze tych dawnych Niemców. Smutne, szare twarze. Obce twarze. Patrzące na niego swoimi martwymi oczyma. Wcale nie lubił tego obrazu, ale wisiał od zawsze i nie potrafił go ściągnąć, wiele razy zabierał się do tego, ale nie potrafił. Cholerny, stary dom. Babcia mówiła mu, że domy też mają dusze i że dusze ludzi czasami zamieszkują takie domy, kiedy zbyt blisko się do nich przywiążą, albo kiedy dusza tak bardzo zgęstnieje, że nie może ulecieć do nieba. Mówiła też, że lepiej żyć z tymi domami w zgodzie. Pan Henryk nie wierzył, że są takie domy, albo że mieszkają w jednym z nich. Chociaż obrazu wołał nie ruszać.

Nie lubił oczywiście tego domu. Na kilka lat udało mu się z niego wyrwać, ale koniec końców wylądował w nim na stałe. Jeszcze raz cholerny, stary dom. A już najbardziej nie lubił go w nocy, od zawsze nie lubił go w nocy. I tak. Od kilku ostatnich dni go nienawidził, bo z nocą przychodziła ona. Dołująca, ciężka i zimna. Przychodziła pod różną postacią. We śnie. Na jawie. Nie wiedział. Nie odróżniał.

Tamtej nocy pan Henryk długo nie mógł zasnąć. Leżał w ciszy ze złożonymi rękami na piersi i patrzył ślepo w sufit. Nie zdjął nawet czarnego garnituru po pogrzebie, bo rano, dobrze to pamiętał, wciąż miał go na sobie. W sypialni panował półmrok. Przez okno wpadało niewiele żółtego światła. Dom w nocy pracował – oczywiście pracował przez cały dzień – mury, ściany, sufity, to wszystko pracowało, ale dopiero nocą było słychać te szepty. Ciche szmery. Stuki. Puki. Jęki.

Dudnienie. Łupanie. Łup! Łup! Łup!

Ktoś wchodził po schodach. Pan Henryk słyszał ciężkie kroki, skrzypienie stopni i sapanie. Ktoś zdecydowanie wchodził po schodach. Dźwięki ustały pod zamkniętymi drzwiami sypialni.

I nagle te drzwi zaczęły się nieśpiesznie otwierać, a towarzyszył im przeraźliwy jęk starych zawiasów. Pan Henryk patrzył prosto na nie i na to, jak powolutku się ruszają. Ktoś za nimi stał, widział czarną sylwetkę za plastikową szybą. Wcale nie myślał o tym, kto to może być. Nie potrafił. Niczego teraz nie potrafił. Leżał, nie mogąc się ruszyć. Język mu spuchł. Ścisnęło gardło. Do oczu napłynęły łzy. Nie mógł ich zamknąć. Pan Henryk się bał. A drzwi otwierały.

W końcu zobaczył: bladą, ludzką dłoń – chociaż nie był do końca pewien, czy dłoń ta należała do człowieka. Chuda i mizerna, miała jakieś takie za długie palce, strasznie powykrzywiane, które na dodatek dziwnie się poruszały. Jakby niezależnie i oddzielnie, spazmatycznie. Dłoń ta powoli otwierała drzwi. W końcu sypialnia stanęła otworem.

Koścista, biała jak mleko ręka i dłoń. Błada, niewyraźna postać. Chłód. Wyciągnięta dłoń. Cisza. Samotność. Tylko tyle. Aż tyle.

I kiedy znalazła się tuż obok, kiedy go w końcu dotknęła, poczuł coś. Głęboko w klatce, przy sercu. Ukłucie. Udało mu się zamknąć oczy. Zobaczył Zofię. Nie uśmiechała się. Była inna. Mówiła coś, ale nie słyszał. Pokiwała głową, odwróciła się i odeszła. W końcu zasnął.

Noc ta była taka sama jak tamta. Jak poprzednia. Jak wszystkie te noce. Noce pełne bólu, pełne goryczy. Puste, zimne noce samotnego człowieka w samotnym domu.

A rano Pan Henryk znów obudził się w pogrzebowym garniturze.

Henryczek postanowił w końcu się przemóc i wejść do tego dziwnego, starego domu. Nurtował go on, intrygował, przyciągał i pociągał jak lep na muchy. Było w nim coś tajemniczego, chłopiec czuł, że coś czaiło się wewnątrz tych starych murów. Kiedy obserwował ten dom, dziwiły go dźwięki wydobywające się ze środka, dziwiły okna, które nagle same się otwierały, dziwiły ruszające zasłony. Najbardziej dziwiło go zaś mrugające w nocy światło na górze. Błyskało zawsze o tej samej porze. Henryczek musiał sprawdzić ten dom. Dziecięcy zapał. Odwaga. Głupota.

Było południe. Stał przed furtką jak co dzień. Położył dłoń na klamce i nacisnął. Otworzyła się. Chłopiec zrobił nieśmiały krok, bacznie obserwując budynek. Nic. Zrobił kolejny. Nadal nic. W ten sposób dostał się pod drzwi. Pomyślał, czy zapukać. Nie zrobił tego. Wszedł do środka. Drzwi były otwarte.

Powietrze było dziwnie gęste i ciężkie. Okna były pozamykane, firany zasłonięte. Na meblach zalegał kurz. W kuchni lodówka była otwarta, a w niej leżała połowa drożdżowego placka, całkowicie spleśniałego i pełnego robaków. Na gazie stał kolorowy czajnik, a na blacie obok szklany kubek z czarnym, gęstym płynem. Kartki kalendarza były powyrywane. W salonie grał głośno telewizor. Słuchawka od staromodnego telefonu spoczywała na brudnym dywanie. Obraz z dziwnymi ludźmi wisiał na ścianie i nieprzyjaźnie spoglądał na chłopca.

Henryczek poszedł na schody, na górę. Drzwi do sypialni były zamknięte. Otworzył je, a one jęknęły, aż przeszły go ciarki. Nie wszedł do środka. Zatrzymał się. Przyglądał. Na łóżku ktoś leżał. Ten ktoś ubrany był w czarny garnitur i czarne buty. Ręce skrzyżowane miał na piersi. Chłopiec chciał się odezwać, ale nie mógł, bo coś chwyciło go za gardło. Zrobił krok, potem drugi i stanął nad tym kimś po ich kilku. Ten ktoś miał siwe włosy, bladą skórę, czarną plamkę na czole i zapadnięte policzki. Miał też zamknięte oczy. Nie oddychał. Wcale. Leżał martwy. Samotny. W kompletnej ciszy.

– Mamo, tam umarł jakiś pan – wysapał Henryczek, kiedy tylko wrócił do domu. Biegł. Ledwo oddychał.

– Co ty mówisz, kochanie? – spytała zdziwiona matka, podchodząc do chłopca i kładąc dłoń na jego czole.

– W tym domu nie żyje jakiś pan – ponowił z trudem.

Sprawdzili to. Poszli razem, za rękę, chociaż był na to za duży. Mama weszła na górę, a jemu kazała poczekać na dole. Henryczek patrzył na obraz z obcymi ludźmi. Nie podobali mu się. Wiedział, że oni też są martwi.

Mama krzyknęła i zbiegła na dół. Wrócili do domu. Później pod stary dom przyjechała policja i zabrali zmarłego pana. Henryczek obserwował z ulicy, jak wynoszą go w czarnym worku. Zrobiło mu się dziwnie przykro.

W nocy – znów udało mu się jakoś wymknąć – o tej samej godzinie co zwykle, przyszedł pod furtkę. Od razu je zauważył. Na górze, w sypialni, paliło się światło. Samotne, żółte światło, które zaczęło smutnie mrugać. Długo tak mrugało. W końcu zgaśło. Zgaśło na dobre.



Roussanka Alexandrova-Nowakowska, cykl *Latanie* (technika mieszana)



Roussanka Alexandrova-Nowakowska, cykl *Latanie* (technika mieszana)